# Przyjaciel Ludu.

**Rok piąty. No. 27. Leszno, dnia 5. Stycznia 1839.**




*Fara w Gostyniu.*

## Do malowniczéj podróży po Wielko-Polsce, Gostyń i jego okolica.

Najładniéj Gostyń widać z wschodniéj strony, od kobylińskiego przyjazdu, gdy znużone oko jednotonnym widokiem gołych, smutnych równin, które tą drogą przebywać trzeba, ujrzy naraz, w poprzek przed sobą wgłębioną, między górami, dolinę jasno-zielonych łąk i pastwisk, a na nich wesołe miasteczko, obetkane ciemniejszemi sady. Przed niém wysuwa się na łąki duży, okrągły, jakby toczony kopięc zamkowy, do mogił krakowskich podobny. Za kopcem to murowane domostwa bielą się i czerwienią, to nowe dachy szkudlanne połyskują w słońcu, wszystkie niedaleko się rozchodząc od matkującéj im fary, która swą gotycką, poważną a uprzejmą fizyonomią, z dziwnie pięknym wyrazem odbija się na burém tle sosnowego boru, obrastającego pochyłą górę za miastem. W lewo od boru, ciągnie się taż sama góra, ale już uprawna, w różnobarwne płoty zielonemi miedzami podzielona, a na góry wydmuchu machają szmigi kilkunastu wiatraków charakteryzujących widok każdego prawie miasteczka polskiego. Zjeżdżając na dół w dolinę, okrążasz jeszcze u spodu, tak nazwaną *łysą górę;* Gostyń na lewo ci się usuwa, a przed tobą, za olszowym gajem, za drugim zielonéj doliny zakrętem, dźwiga się *święta góra,* ukoronowana wspaniałym klasztorem Filippinów, którego włoska, miedzianna kopuła, niższe do koła wieżyce, zabudowania klasztorne i długi ogród, obwiedziony murem, szeroko wierzch góry zalega. Z doliny widzisz wiodącą ku niemu spadzistą drogę, jak szpaler wysmukłemi topolami sadzoną, a przy alei małą kaplicę i cudowną studzienkę. Od łyséj góry drogą piaskową przejechawszy przez łąki, olszyny i mostki, skręcasz dopiero w lewo ku miasteczku. Po jednéj stronie domostwa liche, lepione, omszonemi szkudłami pokryte; na nieczystych podwórkach ułożone stósy sosnowych drewek i przy niezgrabnych piecach za podwórkami poroztłukane nowe skorupy — pokazują, że to garncarskie przedmieście. Po drugiéj stronie snopkami poszyte stodółki; w stodółkach młócą garncarze; bo oni jeszcze pół-wieśniacy, pół-mieszczanie, są takiem przejściem z ziemiańskiego życia do społeczności miejskiéj, reflektującéj, jak grzyby między królestwami minerałów i roślin. We wsi jednak, każda familia jest oddzielnem ciałem, wystarczającem dla siebie; a stósunek i związek między ilością takich familij, składających osadę, jest, że tak powiem, tylko krystaliczny. Miasteczko zaś, już do organicznego ciała podobne, składa się z rozlicznych członków, wzajemnie sobie służących. Przedmieścia, jako ostatnie niby końce tego organizmu, choć bezpośredniéj od natury zależne i z ziemiańskiém życiem się łączące, wymagają przecież, w potrzebach swoich, pomocy rzemiósł, przemysłu i handlu, które się zwykle koncentrują w środkowym punkcie miasteczka; do niego wszystkie surowsze pierwiastki zdają się zbiegać i z niego nazad rozchodzić w towarach, przemysłowych wyrobach, objawiając już, łubo jeszcze bardzo podrzędny stopień społecznego życia. Wjeżdżając w dalszą ulicę, turkocesz po bruku, jak po grudzie nieutartéj; domy drewnianne, po bokach stojące, były znać kiedyś bielone, bo jeszcze wapno niewszędzie odpadło, a przy niskich oknach niebraknie tu już okiennic, pewnie nie tak dla nocnego bezpieczeństwa, jak raczéj dla zakrycia rannego słońca potrzebnych, aby nieczynnych wczas nieprzebudzało. Przez brudne szybki zielone, zalepione papierkami, albo wiórkami pozatykane, widać stojące próżne warsztaty płócienników, albo leżące na oknach szewskie kopyta; majstrów, bowiem, niema w domu, bo skoro tylko zaczęły dojrzewać owoce, wszyscy zostali *sadowemi,* i w słomiannych budach koczują po okolicznych sadach, a na zimę dopiero do swych warsztatów powrócą. Na domowym progu leżą tylko ich nędzne dzieci przed słońcem, albo ich babkę z zaśniedziałym czepcem szychowym na siwéj głowie, w wypłowiałéj na chudych ramionach jupce, widać we drzwiach jak w ramach starego obrazu, albo krawędziach staro-świeckiéj trumny. Daléj, przed domem piekarza, leżą na spuszczonéj okiennicy kołacze i chleby; tam przed rzeźnikiem wiszą na hakach ćwierci mięsiwa; ówdzie na kołku powrozy przed domostwem powroźnika, albo przy drzwiach kołodzieja, jakby to jeszcze za czasów Piastowych, stoi o ścianę oparte koło. Jestto, zaprawdę, homeryczny widok takiego miasteczka, poetyczniejsza ta bezpośrednia wystawa rzemiósł, sama przez się zalecająca się praca rękodzielnika, niż wszystkie złote napisy i malowane przez kogoś drugiego godła; ale smutno jest wspomnieć, że obok téj pięknéj i świeżéj starego świata prostoty, niewidać też postępu w rzemiosłach naszych. Tu partacz nauczy się klecić skrzynki, lub szyć bóty, i mianuje się już majstrem, i osiwieje, niemyśląc o wędrówce, ani chcąc pamiętać, że gdzieindziéj za lepszą robotę, lepszą dostają zapłatę i lepiéj się mają. Między domami rzemieślników widać i kramy kupieckie; w nich nici, tasiemki, kilka zapstrzonych paczek tytuniu i miarka soli czubata, a przed kramem stoi żyd; nie brodaty, nie w swoją czarną, długą suknię ubrany, jak w innych oddalonych od Szląska miasteczkach, ale do niemieckich żydów podobniejszy, nosi się z francuzka. Mała ich ludność, choć od niedawnego czasu w Gostyniu zaosiedlona, trzyma przecież wszystek handel w ręku, jak w każdém naszém miasteczku; bo krajowiec i tu się niepuszcza na zyski handlowe, tylko klepie biedę; a pod wiechą, w szynkowni, zastaniesz go w dnie święte ostatni grosz przepijającego, bo wódka tania i coraz więcéj gorzalni się wznosi. Są przecież i lepiéj się mający mieszkańcy; na rynku wszystkie prawie

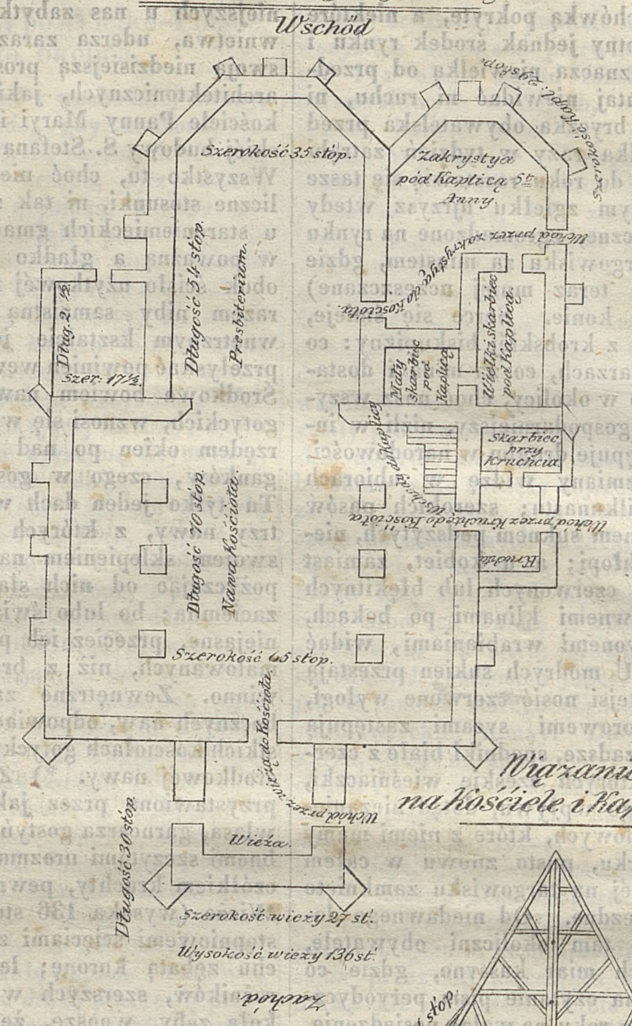
domy murowane, dachówką pokryte, a niektóre nawet o piętrze; błotny jednak środek rynku i skrzypiąca studnia, oznacza niewielką od przedmieść różnicę. I tutaj niewidać ni ruchu, ni życia; czasem tylko bryczka obywatelska przed sąd zaturkoce, a kilka razy w tydzień zatrąbi poczta, a kilka razy do roku rozstawią się tasze jarmaczne. W licznym zgiełku ujrzysz wtedy całe chłopstwo okoliczne, zgromadzone na rynku i na piaszczystém targowisku za miastem, gdzie (niegdyś sławne, a teraz mniéj uczęszczane) bywają jarmarki na konie. Serce się śmieje, patrzeć tu na kmieci z krobskiéj biskupizny: co za pogoda w ich twarzach, co za mina i dostatek! Równych mało w okolicy, choć nasz wszystek lud od Szląska gospodarniejszy, niżli w innych stronach, nieustępuje drugim w narodowości. Niektóre przecież zmiany widzę w ubiorach tutejszych od lat kilkunastu; szerokich pasów skórzannych, czerwonem suknem podszytych, nienoszą już dzisiajsi chłopi; a u kobiet, zamiast używanych dawniéj, czerwonych lub błękitnych pończóch z różnobarwnemi klinami po bokach, lub białych z czerwonemi wrabianiami, widać tylko same białe. U modrych sukien przestają już także chłopi tutejsi nosić czerwone wyłogi, a kobiety różnowzorowemi sycami zastępują piękne, a teraz już rzadsze, spodniki białe z czerwonemi prążkami, których czeskie wieśniaczki, mimo dawności obcego wpływu, dotąd niezaniechały dla barw narodowych, które z niemi mamy wspólne. Po jarmarku, pusto znowu w całém mieście, a szczególniéj na targowisku zamknięte wszystkie domy zajezdne. Od niedawnego dopiero czasu założyli tam okoliczni obywatele, chwalebne ze wszech miar kassyno, gdzie co środa się zjeżdżają na czytanie pism peryodycznych, a cztery razy do roku na walne posiedzenia, przy których mowy ważne, projekta potrzebne i dysputy wyższych dążności usłyszeć można. Kto się wpatrzy w obumarłość, stężałość i płytkość naszego życia powszedniego, uzna łacno, jaką korzyść mogą nam przynieść takie towarzystwa, takie na wyższych drogach ścierania się zdań i wyobrażeń. Prócz tego, kassyno posiada bibliotekę, dość zamożną w dzieła tyczące się zwłaszcza literatury krajowéj; a dochody towarzystwa, obok wielu innych chwalebnych celów, przeznaczone bywają na zakupowanie najnowszych dzieł, mianowicie polskich, i trzymanie wszystkich prawie pism naszych czasowych. Oby więcéj gron takich na naszych ziemiach się skupiało, i czas wolny od zatrudnień powszednich, a grosz oszczędzony od wydatków domowych, ku takim celom obracano! W czasie zapust bywają tu także bale, koncerta lubowników i loterye na ubogich; każda tu bowiem nawet zabawa, ma być z pożytkiem dla drugich.

Ale śród obecnego stanu takiego miasteczka chcąc znaleść i starsze pamiątki, zwykle się ku kościołom zwracamy. Tutejsza fara, jedna z piękniejszych u nas zabytków romantycznego budownictwa, uderza zaraz na pierwsze wejrzenie swoją niedzisiejszą prostotą i uprzejmością form architektonicznych, jakie n. p. w krakowskim kościele Panny Maryi i szczątkach Wolenerowskiéj budowy S. Stefana w Wiedniu, podziwiamy. Wszystko tu, choć nierozdrobnione w tak rozliczne stósunki, ni tak zbytecznie strzępiate, jak u staroniemieckich gmachów, łączy się przecież w poważną a gładko spływającą harmonią, i obok ściśle użytkowéj formy, zdaje się być zarazem niby samoistną krystalizacyą. W zewnętrznym kształcie jednak, lepiéj niż tutaj, przełyskać powinien wewnętrzny podział kościoła. Środkowa bowiem nawa, w innych budowach gotyckich, wznosi się wyższym dachem i drugim rzędem okien po nad niższemi dachy bocznych ganków, czego w gostyńskim kościele niema. Tu tylko jeden dach wysoki okrywa wszystkie trzy nawy, z których środkowa wznosząc się swojem sklepieniem nad obudwoma gankami i pożyczając od nich słabego światła, jest nieco zaciemna; bo lubo świątynie gotyckie mają być niejasne, przecież ich przyćmienie raczéj z szyb malowanych, niż z braku okien pochodzić powinno. Zewnętrzne zastrzały między oknami bocznych naw, odpowiadają i tutaj, jak we wszystkich kościołach gotyckich, wewnętrznym filarom środkowéj nawy. *) Z resztą kaplica S. Anny, przystawiona przez jakiegoś Makarego Skoczywlasa, garncarza gostyńskiego, **) swemi ozdobnemi szczytami urozmaica pięknie, razem z przyczółkiem kruchty, pewną jednostajność kościoła. Wieża (wysoka 136 stóp), zwężająca się coraz stopniowemi ścięciami zastrzałów, nosi na wierzchu zębatą koronę; lecz ze strąconych jéj narożników, szerszych w podstawie, niż inne dokoła zęby, wnoszę, że kiedyś miała cztery po rogach wieżyczki, jakie naprzykład są na wieżach westminsterskiego opactwa. Wewnątrz kościoła, przedwszystkiem wpadają w oczy sklepienia; w środkowéj nawie nowsze i w guście niby włosko-francuzkim gładko zrobione, szpetnie odbija od starych; pięknych i gałęzistych sklepień bocznych ganków i kaplicy S. Anny, do któréj na górę po wschodach się idzie, bo pod nią jest skarbiec i zakrystya. Z resztą filary dźwigające środkową nawę, są zbyt grube i czworoboczne; a jako gotyckie, powinny być wysmukłe i choć nie gładko cylindrowe, jednak z wielu okrągłych słupów zestawione, jakby wiązki trzciny, aby się w górze nieznacznie schodziły z gałęzistemi wzorami sklepienia. W obrazach i nagrobkach nieznalazłem nic ważnego; jest tylko przed wielkim ołtarzem w posadzce osadzony jeden kamienny nagrobek z płaskorzeźbową figurą rycerza, który, według podania, miał swego brata, Aryanina, o przy-

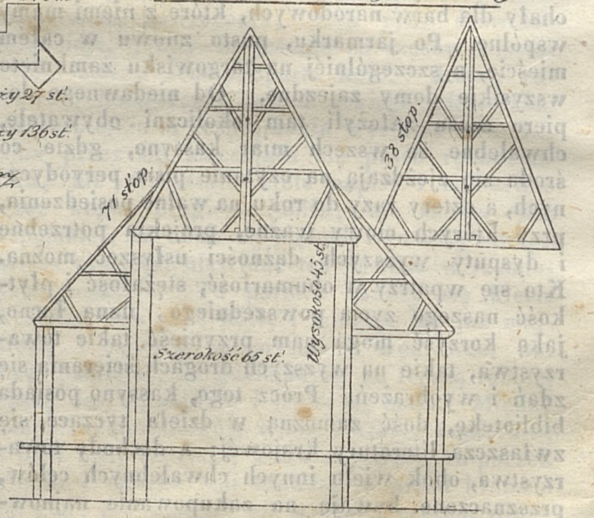
*) Obacz plan kościoła.

**) Według wizyty z r. 1777.

Plan Kościoła gostyńskiego.

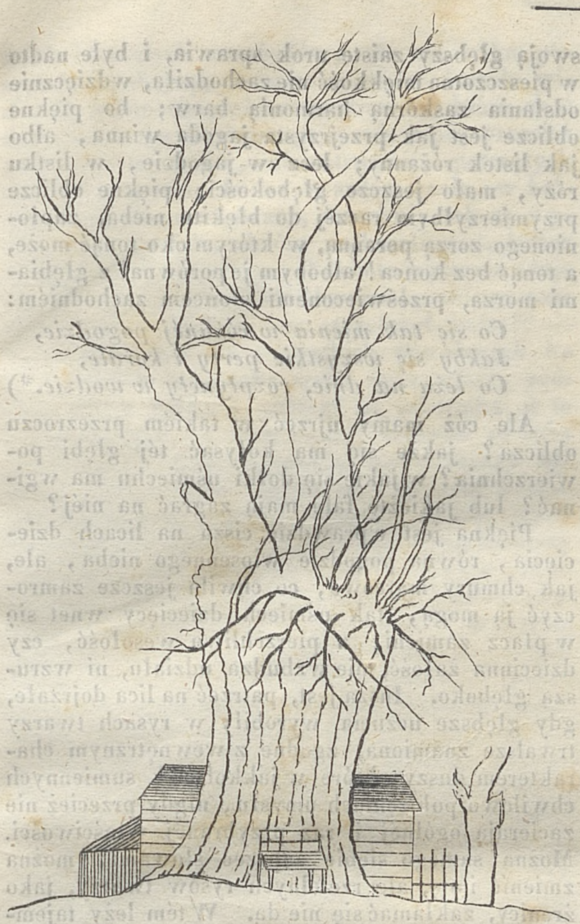



Wiązanie dachu na Kościele i Kaplicy w Gostyniu.




właszczanie sobie kościoła do obrządków kacerskich, a zostawienie tylko kaplicy dla Katolików, zabić *rydlem*, który jest, jak pospólstwo upatruje, wyrzezany przy boku rycerza. Tymczasem obaczyłem na wytartym kamieniu, że ów rydel mniemany, jest tylko tarczą herbową przy nodze rycerza, za którą zachodzi długi miecz od boku jego i tworzy niejakie podobieństwo rydla. Może też całe to podanie urosło z owego łudzącego układu niewyraźnéj rzeźby. Co do dawności kościoła, lubo nie znalazłem żadnéj wiadomości, prócz zapisanego na małych drzwiczkach roku 1595; wnoszę przecież, że przed XVI. stóleciem był zbudowany, bo późniéj, razem z upadkiem prawdziwie gotyckiéj architektury w Niemczech, przestano i u nas gotyckie kościoły stawiać, a zaczęto budować w zepsutym smaku francuzkim lub włoskim, podobne do szaf i szkatuł staroświeckich, jak n. p. wszystkie kościoły warszawskie. Tutejsza stara fara gotycka i nowszy włoski klasztór Filipiński, z dziwnym odcieniem zestawiają obie te epoki budownictwa.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



## Wiąz Ś. Stanisława Szczepanowskiego.

Jeżeli drzewa obcych krajów znacznéj wielkości, ściągają uwagę *Przyjaciela ludu*, i nasze krajowe równie na nią zasłużyć mogą. We wsi Dojazdowie, w okręgu wolnego, niepodległego i ściśle neutralnego miasta Krakowa, w ogrodzie obok altany, z rozłożystych lip i grabów, szpaler tworzących, rośnie wiąz, mający przeszło jedenaście łokci obwodu przy podstawie, a w wysokości kilku łokci od ziemi, do 15 dochodzi. Zapewne niejeden z Czytelników pomyśli z tego wstępu, iż rzecz ta nie jest tak nadzwyczajna, aby zasługiwała na szczególną uwagę; przyznaję. Ileżto buków i dębów po lasach jeszcze większych znaleść się może? Do naszego wiązu przywiązane mamy podanie ludu, przechodzące w potomność, jakoby S. Stanisław Szczepanowski, biskup krakowski, będąc téj wsi dziedzicem, i szczególnym lubownikiem drzew dzikich, których nawet większa liczba przed kilku laty znajdowała się, miał takowy zasadzić, a nawet korzeniami do góry. Wprawdzie wieś Dojazdów i sąsiednie jéj, były niegdyś własnością duchowieństwa; czy zaś biskupa Szczepanowskiego, to chyba archiwa katedry krakowskiéj najlepiéj potrafią przekonać. Każdy zapewne usłyszećby chciał w téj mierze to odkrycie; bo każdy, licząc do tego nawet dziedziców, powtarza tylko opowiadanie gminu. Ośm wieków to drzewo ma dźwigać. Wspaniały i poważny razem starzec panuje nad całą okolicą, chroni zabudowania dworskie od natarczywości wiatrów, a zarazem ze swoich korzeni tworzy fundamenta pod niemi. Może ten tylko miano wzgląd na niego, że uszedł siekiery: bo kiedy rozkrzewiciel angielszczyzny wykorzenił inne, znaczniejszéj jeszcze wielkości, jeden szpaler tworzące, jego tknąć nie śmiał. Został więc niemy nasz olbrzym, świadek tylu odmian czasów; ośmset lat przeżył, tyleż jeszcze przeżyć może: kiedy człowiek, przeżywszy zaledwie jego dziecięce lata, niknąc z tego świata, ustępuje miejsca silniejszym; wiąz stoi niewzruszony, urąga ludzkiéj śmiertelności, zapowiada jeszcze byt nieograniczony. Lecz jak od wielkości do upadku mały przedział, tak wiąz nasz, dziś wielki, stanie się pastwą czasu, i ulegnie przeznaczeniu, jakiemu wszystko podpada.

## O pięknéj twarzy.

(Dokończenie.)

Oko więc powinno być duże; lecz nie wszystkie wielkie oczy są piękne, zależą bowiem od rzutu powiek, od oprawy i swego głębokiego położenia; gdyż wypukłe zdają się okazywać, że człowiek na zewnątrz wychylony, zbytecznie zmysłowemi przedmiotami zajęty, mało się w sobie zagrąża. W dziełach skulpturycznych, oko zwykle głębiéj bywa położone, niż zwyczajnie w naturze, gdyż im więcéj czoło wystaje, tém wydatniejszy jest wyraz myślenia, a oko bardziéj ukryte, usunięte niby od zewnętrznego świata, więcéj duchowego charakteru przybiera. Toż co do barwy; ciemne oczy, głębsze sprawiają wrażenie, niż jasne. Nad oczami brwi ellyptycznie ciągnąć się powinny, bo wyższe ich zaokrąglenie wyraża jakiś niepokój, niepewność. W przejściu od górnéj do dolnéj części twarzy, występuje nos, między zupełnie teoretycznem, duchowém czołem, a praktycznemi poczęści ustami, i będąc organem powonienia, środkuje obu tym stósunkom. Służy on wprawdzie potrzebie zwierzęcéj, stojąc w najbliższym związku ze smakiem; jednakże przez swe połączenie z czołem, nabiera duchowego wyrazu, i zdaje się więcéj do czoła, niż do ust należeć; zawoniać raczéj kwiaty, niż pokarmy, lub napoje; być dobrym nosem dla ducha, nie dla żołądka. Nos zresztą wpływa bardzo na wyraz całéj twarzy; ztąd tyle przysłów o wścibianiu, zadzieraniu i t. d. nosów. Mówią, że ostry, chrząstkowaty, wróży o bystrym rozumie, gdy przeciwnie płaski, szeroki, mięsity, ma głupstwo, zmysłowość i prostactwo oznaczać. Małe nosy, od czasów Mojżesza aż do dzisiejszych malarzy, zawsze za szpetne uważają. Po oczach jednak,

najpiękniejszą częścią twarzy są usta, gdy nietylko do jedzenia i picia, lecz także wedle duchowego znaczenia są zbudowane. W rozlicznych, a najdelikatniejszych odcieniach, wyjawiają one wzgardę, cierpienie, radość i t. d., a ich gra tak jest żywą, zmienną, dotkliwą, jak oczu, i równie w swéj spokojności, jak tamte, mogą być miłe, pełne powagi, uroku i pieszczoty. Jeśli mają piękną formę przybrać, a zatrzeć wszelką zwierzęcą łakomość, powinny być małe; jednakże z niezbyt cienkiemi wargami, bo takowe znaczą skąpe uczucie. Dolna warga, pełniejsza od wierzchniéj, jak np. miał Szyller, nadaje ustom wyraz pewnego nasycenia, spokojności i wezbranego uczucia; gdy na opak u zwierząt, wierzchnia warga nad spodnią wystająca, oznacza niby bezprzestanną żądzę pochwycania zdobyczy; taka warga szpeciła bardzo, znakomitą zresztą, twarz Napoleona; usta bowiem, jako narzędzie udzielania wnętrza swego drugim, powinny więcéj do wypuszczania głosu, niż do nabierania pokarmu służyć. Broda nakoniec, uzupełnia duchowy wyraz ust, a nawet pewien charakter wielkości przybiera, gdy nie zbyt mała, nie niknie usunięta pod ustami, jak zwierzęca, ale przeciwnie, gdy niżéj, niż zwyczajnie, zaokrągla się, i wypukłością swoją przed dolną wargą wystaje. Taka duża i okrągła broda, znamionuje prawdziwą piękność plastyczną. Medycejska Wenus, lubo ma wprawdzie nieco małą brodę, odkryto przecież, że jest odłupana. Dołek w brodzie, niekiedy za wdzięk poczytywany, jako przypadkowy, nie należy do piękności. Włosy wreszcie, jeśli i o nich wspomnieć tu mamy, noszą charakter więcéj wegetabiliczny, niż animalny, porastają czaszkę twardą, bezpiecznie zasklepiającą mieszkającego pod nią ducha, przeto niezdolną do wyrażania go zewnętrznie; krótko więc strzyżone, nie urozmaicając téj bezwyrazowéj powierzchni, wyglądają tylko jak poszycie dachu; przeciwnie zaś, dłuższe, swém utrefieniem, niby płączącym się ruchem i rzutem, wtórują giętkim rysom twarzy; a barwa ich, jakkolwiek mieniąca, zawsze przecież jednostajna, wymaga w lokach głębszych odcieni, i wyraźniejszych różnic połysku, odpowiednich różnotonnéj a harmonijnéj cielistości oblicza.

Nic nie ma idealniejszego w harmonii kolorów, jak ta cielista barwa (inkarnat), w któréj, bez przytłumienia, wszystkie się barwy jednoczą. Przezroczystość żółtawéj powierzchni ciała, z głębi ożywiona to czerwoném tętnem, to siną żyłą, gdzie niegdzie w zielonawe tony się mieniącą, przebyska z wewnątrz, jak świtem, czystą czerwonością rumieńca, który nie zachodząc ni w błękit, ni w żółtość, ni w fiolet, gubi się wreszcie kolorów. Rumieńce zbyt krwiste, jako przytłumiające przejrzystość oblicza, są szpetne, i raczéj jabłkom, niż ludzkim licom przystoją; bledsza zaś cera, w któréj od czasów Rafaela Mengsa tyle idealności upatrywać nawyknięto, smętnością swoją głębszy zaiste urok sprawia, i byle nadto w pieszczotną miękkość nie zachodziła, wdzięcznie odsłania zaskórną harmonią barw; bo piękne oblicze jest jak przejrzysta jagoda winna, albo jak listek różanny; lecz w jagodzie, w listku róży, mało jeszcze głębokości; piękne oblicze przymierzyłbym raczéj do błękitu nieba, zapłonionego zorzą poranną, w którym oko tonąć może, a tonąć bez końca! albobym je porównał z głębiami morza, prześwieconemi słońcem zachodniém:

*Co się tak mienia w różanéj pogodzie,*
*Jakby się wszystkie perły i korale,*
*Co leżą na dnie, rozpłynęły w wodzie.**)

Ale cóż mamy ujrzeć w takiém przezroczu oblicza? jakże się ma kołysać téj głębi powierzchnia? w jakie się dołki uśmiechu ma wginać? lub jakieżto fale mają zagrać na niéj?

Piękna jest wprawdzie cisza na licach dziecięcia, równa pogodzie wiosennego nieba, ale, jak chmury marcowe, co chwila jeszcze zamroczyć ją mogą, tak uśmiech dziecięcy wnet się w płacz zamieni, a pierzchliwa wesołość, czy dziecinna żałość, nie wzbudza udziału, ni wzrusza głęboko. Insza jest, patrzeć na lica dojrzałe, gdy głębsze uczucia wyrobiły w rysach twarzy trwalsze znamiona, zgodne z wewnętrznym charakterem duszy; które w jakkolwiek sumiennych chwilowo położeniach umysłu, nigdy przecież nie zacierają ogólnéj i raz przybranéj właściwości. Można samego siebie zaprzeć słowami, można zmienić imię, ale rzetelnych rysów twarzy, jako źrenicy, zakłamać się nie dą. W tém leży tajemnica wizerunkowego malarstwa, od tego ogólna piękność lub szpetność człowieka zawisła. Naturalna wesołość, albo smutek próżny, nie są wystarczającym powabem; głębokość duchowa wymaga bowiem, aby dusza wyrobiła swe uczucia, swe siły żywotne, swe całe życie wewnętrzne; by dużo ucisku zniosła, wiele zwyciężyła, wiele przecierpiała, a przecież w tém rozdwojeniu, aby nieupadła, ale zwycięzko do siebie nazad przyszła. Starożytność miała olbrzymiego bohatyra w Herkulesie, lecz jego walki były zewnętrzne; chrześciański człowiek musi we własnéj duszy wewnętrzne węże i smoki pokonać, a tylko po takiém zwycięstwie, wyższém weselem duch się rozraduje, po takiéj burzy niebieska pogoda zaświéci tęczą na jego twarzy; bo wesołość naturalną może wziąść człowiek z zewnętrznego świata, ale wyższe szczęście, zbawienie, znachodzi tylko w głębi samego siebie. Szczęście zewnętrzne może przyjść samo do niego, zbawienie zaś tylko osiągnione być może jako zwycięzenie zmysłowych pokus, które dusza chcąc odrzucić precz od siebie, weszła w walkę, w cierpienie, ale nad cierpieniem zwycięzko tryumfuje.

Znacieżli włoskie obrazy Chrystusa i starożytny posąg Laokoona? Tam Zbawiciel świata niema na ustach, jak Laokoon, od krzyku i stę-

*) Czciciele ognia T. Moora, przekład Odyńca.

kania obwisłych muszkułów, ale ma tylko posępność spokojną, a za to w oczach i czole widne są burze cierpień wewnętrznych, które choć nad nim srogo się wzmagają, nie grożą przecież zachwianiem ducha, ni zatrważają patrzących nań wyznawców, bo na twardém czole, w którém duch skoncentrowany, muszkuły tak są wyciągnione, że fale, choćby najburzliwsze, ledwo co marszczyć się mogą. Takimto wyrazem zdaje się do nas przemawiać Zbawiciel, mistrz nasz najwyższy: „Ufajcie, jam zwyciężył świat!“ — Lecz jestże kto ze wszystkich powołanych ku temu żołnierstwu, coby wziął tarcz wiary, podniósł miecz ducha i pobiegł na ochotnika w te cierniste drogi, a taką twarzą wzywał za sobą współbraci? Oto, wpatrując się w obrazy naszych męczenników, kiedy was rzewne a błogie współczucie ogarnia, ujrzycie w ich rysach taką pociechę z cierpienia, taki wyraz zachęcający do poświęcenia siebie za drugich, wyraz prawdziwszéj piękności, niż w gładkich licach i płochych uśmiechach kochanek! Aleć i niewiasta może się przyodziać w idealne wdzięki, jeśli zrzuciwszy z siebie ziemskie klejnoty i marne błyskotki, zaświeci stokroć świetniejszém bogactwem ducha i niebieskiéj miłości, jeśli się zapatrując na obraz Niepokalanéj Maryi, w szlachetnych cierpieniach, które na każdą wzniosłą duszę uderzają, nie zachmurzy swéj bolesnéj twarzy ni rozpaczą, ni zwątpieniem; jeżeli na wskróś przeszyta mieczami, nieskamienieje jak pogańska Niobe; ale owszem, gdy stratę, choćby najdotkliwszą, poniesie z ochotą, dla odkupienia współbraci; gdy wytrwa w ucisku i prześladowaniu dla podania ulgi cierpiącym, a niezdolna walczyć na otwartym placu, gdy po swych ustronnych ścieżkach depce każdego zjadliwego węża: wtedy w jéj niewieścich oczach i miękkiém obliczu tém wyraźniéj i piękniéj wybije się owa świętość duszy, ów niezachwiany pokój religijny; prawdziwe bowiem uspokojenie i stateczne wesele wtenczas dopiero człowiek znajduje, kiedy swe ziemskie serce przełamawszy, nad skończoność rzeczy tutecznych się wyniósł i wiecznie pojednał z Bogiem, a umiłował prawdę miłością bezżądną. Bo miłość religijna nie jest pożądliwością roskoszy cielesnych, jedno skłonnością duszy; ona nietylko w cierpieniach jest wytrwałą, ale owszem, im głębiéj, cierpi tém ją silniéj czuje, tém bardziéj się umacnia, tém goręcéj kocha; a serce zawsze przecież zostaje samoistném, choć, aby się zamiłować w drugich, musi samo siebie opuścić, oddać i poświęcić dla innych. W tém to leży cała rzewna tkliwość miłości, i właśnie to rozdzielanie się, a znajdowanie pokoju w drugich, jest tym łańcuchem, tą jedną duszą, która w rozlicznych ciałach łączyć nas powinna i przelyskać nawet w oczach, grać nawet w rysach twarzy wspólnym oddźwiękiem współczucia. W takichto tylko wyrazach znajdziemy piękność prawdziwą, bo piękność zgodną z naszem najświętszem uczuciem. *....

## Listy z narodowéj pielgrzymki.

### *List piąty.* *)

Z pod piaszczystéj skorupy wytryska źródło czystéj wody; cztery malenkie kamyki wpadły do niego przed wieki, a do dziś gruntu dosięgnąć nie mogą; utoną stokroć i stokroć wypłyną; podrzucane i podchwytywane kolejno, gonią się i ścigają wzajemnie, a uciec sobie, ani się schwycić nie mogą; jakby w nie zaklęto dusze na wieczną, daremną pracę, na wieczne, nieskończone męki skazane; **) nigdy też sobie z nich niewypoczną; zbyt są lekkie, aby mogły przygnieść i przytłumić źródło; zbyt ciężki, aby je mógł wyrzucić i porwać słaby promień wytryskującéj wody, która leniwo sączy się po ziemi, dniem i nocą napawa piasek spragniony, a wieczorem ptaka leśnego, albo łanię pierzchliwą.

Taki jest początek Noteci. Ktoby uwierzył! Wszak to ta sama Noteć podrywa daléj silnym prądem swe brzegi, szumi, pieni i zżyma; ciasno jéj w szerokiém korycie, pędzi na oślep na wolność. Już się wylała szeroko, daleko; już się w tysiącznych zakrętach łamie, zawraca i miesza; zda się, że wały jéj tańczą *nieskończonego.*

To Gopło! Któż nie wie o jego wielkości; rzekłbyś, że nie ma granic, bo nie dojrzeć brzegu od brzegu! A przecież ciasno w niém Noteci rodzicielce, ona większéj pragnie swobody, większéj wolności; żadnego jarzma nie cierpi, żadnéj zapory, i wylewa się rzeką Goplenicą, i przez *trojakich* brzegów przeszedłszy panowanie, pędzi i pędzi do morza!..

Narodzie lacki, tyś w kolebce poczęcia twego pił ze źródła Noteci! Jako z piersi macierzyńskiéj wyssałeś z niego twe losy, a jako z księgi przeznaczenia nauczyłeś się przeszłości i przyszłości twojéj!

Nad samą rzeką leży wieś Warzymów. — W niéj kościół stary, po aryański, dziś pustką stoi.

Lud, z poszanowaniem przechodzi koło świętego przybytku, w którym się ojcowie jeszcze modlili, a który przez karę niebios podupadł.

Bojaźliwsi omijają go z daleka; zaledwie dzieciuch swawolny śmie czasami zajrzeć przez szparę, i ucieka do domu, jakby tam stracha zobaczył.

Podróżnych zatrzymuje widok jego, noszący na sobie nie tylko ślady lat zbiegłych, ale i charakter tego stylu pięknego, z którym tak rzadko spotkać się przyjdzie w naszym kraju.

Podobien jest do fary gostyńskiéj; każden mu też chętnie poświęca chwilę uwagi i uwielbienia; a niejeden więcéj miłujący pamiątki i piękność, nie przestając na obejrzeniu, zewnętrznéj budowy, zagląda i wewnątrz. Świątynia bowiem jest jak człowiek; w *sobie* najdroższy

*) List czwarty znad Gopła, dla ważnych przeszkód, wydrukowanym być nie mógł.

**) Sisyphus, Tantalus i t. d.

klejnot zamyka, w *sobie* przechowuje bóstwo, tajemnice, świętości.

Odarta z nich, traci wielkość przeznaczenia swego; staje się podobną ciału sławnego męża, uwieńczonemu bluszczem, przystrojonemu złotem, spoczywającemu *na marach;* mówią o czynach jego i życiu, kiedy już do czynu niezdolny.

Równie świątynia spustoszona, już tylko do *przeszłości* należy; już w niéj serce nie uderzy miłością Boga, już się nadzieja wiarą nie pokrzepi. Czasami jeszcze spłynie łza smutku po licach tkliwego wędrowca, który się na pogrzebie swoich nadziei i szczęścia swego płakać nauczył! Inny obojętnie się po niéj przechadza z założonemi na tył rękoma; inny wreście szuka okiem zgłodniałego starożytnika kąsków dla swojéj nauki; a kopiąc za skarbem i odgrzebując pamiątki, dokończa dzieła zniszczenia!

* * *

Takie myśli zajmowały mnie, kiedym zwiedzał kościół warzymowski. W nim pustka, rudera! Okna bez szyb, dach bez pokrycia! Wiatr przewiewa otworami i pomiata rozdartą zasłoną wielkiego ołtarza, który zwalony w połowie, runie do szczętu, jeśli go wiara nie wesprze.

Kamień jego węgielny podkopany; tam się sklepienie zapadło; widać otwór do lochów, w których zapewne groby familijne strzegą prochów szlachetnych, aby się z prochami gminu nie zmieszały.

Nieszczęsni! nawet po śmierci mniéj są użyteczni od tego kmiotka, który ziemię uprawioną za życia rękoma, po zgonie jeszcze ciałem swojem użyźnia.... pomyślałem sobie i spojrzałem tam na dół.

Zimny wiatr mnie owionął stęchłym oddechem; mrówie przeszło po całem ciele!

„Pójdźmy panie, czas wielki!“ ozwał się dziadek osiwiały, który mnie wpuścił do kościoła, a sam pozostał przy wejściu.

„„Co to za lochy, gdzie schody?““ zapytałem.

„Bóg tam wie!“ odpowiedział krótko i naglił do powrotu.

Ciekawość moja rosła; myślałem, jakby ją zaspokoić; a postrzegłszy w kruchcie drabinę, pokusiłem się zstąpić do lochów i odkryłem zamiar starcowi.

W téj chwili wleciał wyłomem, który się w szczycie kościoła znajduje, ptak czarny, zdało się, że kawka, a okrążywszy nad naszemi głowami trzykrotnie, tą samą drogą nam zniknął.

Starzec się przeżegnał, ruszał drżącemi wargami i gwałtem prawie wyciągnął mnie z kościoła.

„„Co to znaczy!““ rzekłem zadziwiony.

Starzec nie słuchał, natężony wzrok wlepił w jedno miejsce przed siebie; bladł i drżącą ręką wskazał na jezioro.

Spojrzałem, ptak czarny okrążał małą wysepkę, która się niedaleko brzegu znajduje; okrążył ją trzykrotnie i zapadł pomiędzy krzaki.

„„Co to znaczy, na Boga!““ zawołałem powtórnie, nie mogąc ukryć wrażenia.

Starzec spojrzał na mnie szczególniéj i patrzał długo, jakby się dziwił pomięszaniu memu. Zawstydziłem się mocno, bom uczuł, że się nie godziło pokazywać takiéj słabości w obec człowieka, którego z grubych przesądów i zabobonów oczyścić należy.

Chcąc naprawić, com popsuł, udawałem spokojnego; żądałem nawet, aby mi towarzyszył na wyspę.

„Za wszystkie skarby świata nie szedłbym *téj chwili w to miejsce!*“ rzekł starzec, cofając się odemnie.

Ciekawy i wytężony wzrok utopiłem we zmroku, który już osłaniał wysepkę; ale mimo całego wytężenia, nie dojrzałem nic więcéj, prócz krzaków karłowatych, okrywających jéj brzegi, i ogromnego kamienia, sterczącego na środku!

W tém wszystkiem to tylko może było uderzające, że owe krzaki w miejscu tak żyznem i wilgotnem, miasto wystrzelić smugłą latoroślą do góry, na ziemię się pokładły, skręcone jakąś chorobą, a kamień zdawał się w ciemności podobien kształtom człowieka.

„Ten kamień,“ mówił starzec, „wielkie tajemnice przywalił! Błogoćby nam było, gdyby go można odrzucić. Ale tego nikt nie dokaże! Wiedzą przecież ludzie, co tam jest pod nim!“

Tu zamilkł. A kiedym nań nalegał, ażeby skończył opowiadanie, rzekł mi, potrząsając głową:

„Przed kilku laty był téż tutaj ktoś taki ze świata i kazał sobie opowiadać, a suto dawał pieniędzy i wódki, to mu téż różnie gadali, i tak i sak mój panie! A on słuchał i słuchał, a potém wszystko spisywał na kartach. Aż mu téż raz przyszło pisanie jakieś, pewnie ze smutnem orędziem, bo się zatrwożył i zapłakał i wziął co tchu konie od kmiecia i odjechał. Musiało mu być bardzo spieszno, bo aż papierów zabaczył.“

„„Gdzież się podziały, gdzie są?““ przerwałem zdziwiony.

„A gdzież, u mnie w półskrzynku, mój panie!“

Wystawić sobie zdumienie moje! Już tu przedemną ktoś szukał pamiątek. Z niecierpliwością dążyłem do chaty starego, chciwie schwyciłem podany zwitek papierów; zdało mi się, żem pismo poznawał, ale nie śmiem czynić domysłów. Dosyć, że je słownie przepisawszy, w następnym liście do druku podam, nie zapełniając nawet szczerb kilku w ciągu opowiadania.

Z nad Noteci. *A. W. B.*

*Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie.* *(Red. Ciechański.)*